

## **Wanda, której nie ma – Beata Słama o premierze sztuki „Wanda”**

Nigdy nie poświęcałam szczególnej uwagi Wandzie Rutkiewicz. Kiedyś była, teraz jej nie ma. Jak wielu innych ludzi gór. Byli bliżsi, których śmierć bardziej bolała. Od jakiegoś czasu jednak zaczęłam rozmyślać o jej odejściu. Miałam w głowie taki obraz: Wanda siedzi na zboczu góry, może w śnieżnej jamie, może nie, może jest zrezygnowana, a może po prostu chce doczekać świtu, może się poddała, a może dokonała już wyboru. Trwa w przejmującej ciszy, widać parę jej oddechu, a nad nią zimne gwiazdy. A ona jest coraz dalej i dalej...

Gdy scena się rozświetla, widzimy nagą aktorkę zwiniętą jak embrion w przezroczystym kubiku, w tle na zimowym niebie błyszczą gwiazdy. To Wanda, której już nie ma. I ta Wanda, której już nie ma, za chwilę opowie nam swoją historię... A ja już wiem, że bardzo chcę jej wysłuchać.

Tak rozpoczyna się monodram pióra Wiesławy Sujkowskiej „Wanda”, którego premiera odbyła się 14 października w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej.

\*\*\*

Sztukę o kobiecie zrobiły same kobiety. Autorkę już znacie. Wandę zagrała Anita Jancia-Prokopowicz, wyreżyserowały – Maria Sadowska i Joanna Grabowiecka, scenografia – Ilona Binarsch, muzyka – Maria Sadowska. Spisały się wspaniale, jest w tym energia i ogromne zaangażowanie. Namysł i umiar.

Właśnie, umiar. Wystawiając sztukę o górach, łatwo zapędzić się w domeny kiczu, osunąć w groteskową dosłowność. Wydaje się, że tego twórcy podobnych spektakli boją się najbardziej, dlatego stawiają na umowność i prostotę („Każdemu Everest”, „Pavla na przepaści”, „Wasza Wysokość”). Monodram z kolei to tak specyficzna forma, że może wystarczyłby aktor na czarnym tle i słowo. W monodramie „Wanda” proporcje są jednak doskonale odmierzone: jest umowność, prostota, gra wyobraźni i ryzykowne efekty, lecz dawki tak ostrożnie, że wzbogacają przekaz i dają wytchnienie. Lub wzmagają napięcie.

Zacznijmy od tekstu: autorka doskonale wyczuła, co może być ważne w takiej opowieści, trafnie rozłożyła akcenty. Nie ma tu miejsca na językowe eksperymenty i frazeologiczne fikołki, nie ma budowania postaci przez przypisanie jej określonego języka – jest budowana inaczej, emocjami i świetną grą. Wanda mówi do nas, patrzy nam w oczy, z bardzo bliska. Żartuje, płacze, kpi, milczy, cierpi. Są ogromne emocje, lecz na pewno nie ma patosu.

Autorka zgłębiła temat, nie ogranicza się bowiem do samej Wandy, a pokazuje jej opowieść na tle, przedstawia ją jako osobę wchodzącą w tradycję wspinaczkową i mającą tego świadomość. Jest doskonała scena pod północną Eigeru i zacytowanie słów konającego Andreasa Hinterstoissera „Ich kann nicht mehr”, którym autorka nadała, w kontekście życiowej postawy Wandy, zupełnie inne, nieco przewrotne znaczenie: wspinacz walczy w ścianie Eigeru o życie, Wanda walczy o jego jakość. Jest wstrząsająca opowieść o śmierci radzieckich alpinistek na stokach Piku Lenina. Bo nie przychodzimy do wspinania jako tabula rasa, jesteśmy spadkobiercami, wzorujemy się, mamy idoli, a przynajmniej autorytety, idziemy po czyichś śladach.

Rzecz nie jest linearna, można odnieść wrażenie, że skaczemy z tematu w temat (choć jest w tym klucz), a wszystko zmierza do kulminacji – wejścia na Everest. Lecz najpierw pod ten Everest trzeba dotrzeć: skałki, handel, sponsorzy, faceci, życie...

Zdobycie Everestu ma wymiar symboliczny: najwyższa góra i pierwsza Polka. Ale też zwycięstwo nad sobą, wejście na równych prawach do świata mężczyzn, pokonanie ich, ale też uświadomienie sobie, że to nie jest świat dla niej, że musi wypracować własne zasady.

To scena niezwykle poruszająca, ale też ryzykowna: bo czyż można pokazać w teatrze wspinaczkę w Himalajach? Można. Metaforycznie, a zarazem dosłownie. Jest mózół i pot, jest walka z własną słabością i partnerami (Niemcy pokrzykujący „polnische Schweine”). A na koniec... Kulminacja i niezwykle ryzykowny zabieg, który jednak doskonale się broni: aktorka wkłada krwistoczerwoną aksamitną szatę i nakrycie głowy upodabiające ją do kogo... no właśnie... do buddyjskiego bóstwa? Oto kobieta stoi na szczycie świata, jest wyniesiona w swej kobiecości, jest zwyciężczynią, jest archetypiczna, wieczna Magna Mater, Tara, Dakini, bodhisattwa... Nie wiemy, czy Wanda była osobą szczególnie uduchowioną, legenda mówi (tak, to już legenda...), że nie umarła, lecz chcąc uciec od tego, czym stało się jej życie, zeszła na drugą stronę i żyje gdzieś w buddyjskim klasztorze...

Potem są inne góry, wiele innych gór, budzą się demony, przypominają śmierci bliskich, śmierci w górach i nieszczęsne, zamazane zdjęcie ze szczytu Annapurny. Rozpacзлиwa próba nadania sensu, Karawana do Marzeń... A potem jest już tylko milczenie.

Wszystko to rozgrywa się w białej przestrzeni. Scena w pewnym miejscu jest pofalowana, na ścianie kilka chwytów, pośrodku kubik z pleksi, który jest namiotem, schronieniem, a może kamieniem. Na białym tle pojawiają się barwne akcenty: przed wszystkim żółty kombinezon, w który ubrana jest aktorka, jakże emblematyczny. Czerwony telefon, kolorowe chorągiewki modlitewne, brązowe pantofle. Na ścianę od czasu rzucają się obrazy, które rozładują momentami napiętą atmosferę białej przestrzeni. Łatwo popaść w efekciarstwo, lecz i tu zachowane są konsekwencja i umiar, twórczyni spektaklu wiedzą, kiedy się zatrzymać, może czasem krok przed, lecz daje to niezwykle efekt.

Jak napisała Ewa Matuszewska: przedstawienie „Wanda” to kobieca ekspedycja, a liderką jest Anita Jancia-Prokopowicz, Wanda. To doskonały wybór, jej uroda jest bowiem spokojna i dyskretna, to jedna z tych aktorek, które z pozoru niepozorne, mogą w jednej chwili się przeistoczyć, być, kim tylko chcą. Nie przypomina Wandy, nie musi. Może wcale nią nie jest, może to po prostu kobieta, która opowiada o sobie, ale i o wielu innych kobietach.

To nie jest łatwa rola, taka rola to brzemię, to wchodzenie w niezwykle intensywne stany emocjonalne. Jest biel, aktorka, jej twarz, jej ciało i my, widzowie. I lęk, czy będzie między nami chemia, ten niezwykle rodzaj zaangażowania z naszej strony i zaufania do nas z jej strony? A może na odwrót? W sobotni wieczór w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej ta chemia niewątpliwie była.

\*\*\*

Niedawno padły na temat wspinających się kobiet słowa, które paść nie powinny, choć może dobrze, że padły, stały się bowiem asumptem do rozważań na temat tego, jak mówi się o kobietach i jak się je traktuje. Nie tylko w środowisku górskim. Sztuka „Wanda” pojawiła się w doskonałym momencie, jest kolejnym ważnym głosem w tej dyskusji, choć się do niej bezpośrednio nie odnosi i nie takie było zamierzenie autorki.

To tekst uniwersalny, nie tylko dla ludzi gór i tych, którzy Wandę Rutkiewicz znali. Mówi o wolności, o jej granicach, o trudnych wyborach, o pokonywaniu siebie. O wielu sprawach, które mogą wydać Wam się banalne, lecz opowiedziane na scenie banalne nie są.

Sztuka Wiesławy Sujkowskiej jest doskonałym dopełnieniem biografii Wandy pióra Anny Kamińskiej.

Anna Kamińska to fakty, Wiesława Sujkowska to emocje.

A Wanda wciąż pozostaje zagadką...

**Beata Słama**